

Schody w dół, schody w górę.

(...)

I - już po chwili, siedziałem w podmiejskim pociągu, na siedzeniu plastikowym, plastikowym - jak ten wagon cały.

Siedziałem z nogami owiniętymi wokół siebie - chroniąc gonady - na wypadek nagłego ataku gnomów, trypra i wszawicy.

Podświetlone, nad wciąż przesuwanymi w te i we wte drzwiami - imieniny Wieńczysława.

Nie znam żadnego Wieńczysława.

Może to i dobrze.

Ruszył.

Bynajmniej - nie z kopyta, a całą mocą swoich dławych trzewi, krztusząc się i gwiżdżąc jak stary astmatyk, by, po dwóch minutach osiągnąć siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Prędkość taka.

(...)

Na pierwszej stacji, do przedziału wsunęła się ONA.

Jasnowłosa.

Tuż za nią - wpelzł gnom niewielki, otłuszczony, chodząca wątroba marska - twarda z wierzchu a ohydna niczym wiadro z pomyjami. Oblesny bezkręgowiec, wymachujący niezgrabnie członkami, jak nieporadny poudarowy ludzki kikut, pozbawiony, z przyczyn niezależnych, ruchowej koordynacji.

Usiadł, śmierzdząc frytkami, smażonymi na byle oleju, zmieszanymi ze starą, podgotowaną nieco, białą kapustą, której, nawalony jak stodoła kucharz, nie zdążył jeszcze dobrze wymieszać.

A ONA - na przekurw mnie - spuściwszy wzrok ku podłodze, wodziła oczami za półprzrytomną peyotlową muchą, słaniającą się po jasnobłękitnej tafli niedbale wklejonej w wagon podłogi.

Jej oczy krążyły - od stopy mojej niecierplivej, dygania chłonnej i podnieconej uprzednimi kompulsjami, do własnej - delikatnie ukwieconej obuwem miękkim, kobiecym i przypominającym lampkę szampana, smukłym i zakończonym szpilkowym atrybutem kobiecej seksualnej dominacji.

Poczułem jak robi mi się ciepło.

Na stacji kolejnej, do wagonu wnicowała się sprężynująca krzyżówka kuchennego mopa i orangutana, płci, jak się domyśliłem - żeńskiej - i, zamiatając kuprem, przestępując z nogi na nogę, w nieustannej menstruacji, usiadła obok - roztaczając wokół mdły, słodki i obrzydliwie piżmowy swąd swojego spalonego solaryjnymi lampami ciała.

Jej usta, obrzęknięte, jak gdyby poddano je uprzednio całonocnym torturom, rozchylały się rytmicznie w takt wystukiwanych przez ich właścicielkę kolejnych klawiaturowych telefonicznych sylab, co raz wysyłanych w bliżej nie zidentyfikowaną otchłań.

Na przeciwko niej usiadł młody, wysoki, nieprawdopodobnie chudy nastolatek w czerń owinięty, przystrojony w jedyny taki - spadający na twarz długi kosmyk białych włosów i, również - z klikaczą zaciętością rozpoczął pracę swoją, opuszkową, ekspediując kolejne wiadomości do, zapewne niczego nie spodziewających się, emo-pobratymców.

A ja wciąż, wpatrzony w JEJ obraz, nieruchomością swoją zadziwiając nawet okienną szybę.

- Dostojna - pomyślałem i - by spotęgować bodźce, nałożyłem na uszy słuchawki, skąd, wgląd mych małżowin, poczęła wnet płynąć pełna elegancji i wdzięku, a równocześnie niepokojąca rytmiką melodia.

Patrzyłem i patrzyłem.

Powoli - i - jak sądziłem, niezauważalnie dla NIEJ - atawizmami wiedziony, wysunąłem koniec języka, rozprowadzając po wargach lepką, słodkawą wydzielinę, co - według mojej oceny, powinno było

a) zwrócić jej uwagę

b) pomóc w nawiązaniu kontaktu werbalnego poprzez

1. uelastycznienie wszystkich elementów naskórka bliżej ust
2. podniesienie sprawności mięśniówki języka w zakresie wszystkich jej dostępnych ruchów.

Nie, żebym od razu chciał jej jęzor wypychać, w te śliczne i delikatne usteczka.

Nie.

Przecież dewiant ze mnie żaden, a i odwagi nie mam za grosz.

Gapilem się beczelnie, zasłuchany w ciąg przyczynowo skutkowy zwrotek i refrenów, stukając równocześnie kciukiem o palec wskazujący, zaczepiając, podniecając, drażąc i szczypiąc.

Kolor jej oczu, zdefiniowałem jako zamglony błękit.

Jej twarz, biała i gładka - stanowiła wykwintny i elegancki dodatek do, w połowie obnażonej szyi - śnieżnobiałej iglicy, wieńczącej świątynny, dwiema kopułami ogromnych piersi ozdobiony budynek.

Katedra, zakończona skrzyżowanymi wbrew zwyczajom, nawami - ud - gdzie, każdy z mięśni, widoczny pod delikatnym wzorkiem pończochy - nęcił, kusił, przyciągał wzrok.

Znów zrobiło mi się ciepło.

Zamknąłem oczy.

Nie zdążyłem zapamiętać tych scen, które, w przeciągu kilkunastu kolejnych sekund mózg mój zaprezentował w formie filmowej zajawki na wewnętrznej powierzchni powiek.

Nie zdążyłem.

Nagle, poczułem uderzenie w ramię.

W ramię - a jakbym w pysk dostał.

- Ścis� pan tą muzykę, kurwa! - Jasnowłosa - stojąc nade mną, z twarzą nienaturalnie gniewem wykrzywioną, gotowała się do zadania następnego ciosu - no ścis� pan to, mówię, bo przez to jebane dudnienie może człowieka jasny chuj strzelić!

Po raz trzeci - ciepło.

Wąskie strużki potu - każda w inną stronę pomykając, jak macki ośmiornicy objęły we władanie każdy centymetr kwadratowy powierzchni.

(...)

W jednej chwili zrozumiałem sens: i nożnej samoobrony i natręctw moich niezwycięzonych, lustracji i nawet owych - nieskoordynowanych skurczy mieszków włosowych, towarzyszących łojotokowi neurastenika.

I - przypomniał mi się dwuwiersz, dawno temu, na zajęciach z fizjologii, wtłoczony do któregoś z moich, zmacerowanych alkoholem mózgowych ośrodków.

"Piękno - jak zapach - ulotne jest.

A człowiek - poci się zawsze."

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

dr_brunet, dodano 14.06.2012 12:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.